

Poszukiwania

Ciotka Maryła wyglądała jak utuczona, rozwydrzona gęś, która nieustannie szuka okazji do bitki i pragnie każdemu udowodnić własną siłę. Rozsiadła się na ławce i pochyliła zupełnie jak mężczyzna, łokcie opierając o kolana. Skórę miała na rękach strasznie białą, a na twarzy wręcz przeciwnie – czerwoną. Nosila kremowy, poplamiony fartuch. Istna gęś.

Cały czas mówiła, chociaż tak nieskładnie, że nie mogłam się połapać, co dokładnie ma na myśli. Była bardzo zła na „pobłażanie, jakie w tym domu okazywane jest mężczyznom”. Wyglądało na to, że znowu ma jakieś pretensje do mojego tatusia. Maryła go nie cierpiała, zresztą z wzajemnością. Obiekcje miała do wszystkiego – do ubioru, wyrazu twarzy, każdego, nawet nieznacznego gestu. Uważała go za „obiboka” i „gamonia”, który nie potrafi przejąć się własną rodziną i nad ciepło domowego ogniska przedkłada pijaństwo, przesiadywanie pod sklepem i kumpli. A przecież to nie była prawda! Ale Maryła nie dawała sobie tego wytłumaczyć, wciąż złorzeczyła. Miałam wrażenie, że chce obwinić tatusia za wszystko, co na świecie złe, co w jej życiu się nie udało. Jak tak mogła? Szczególnie, że nie mógł się bronić, bo od pewnego czasu nie było go w domu. Gdzie on znowu zniknął? Zaczynałam się już nieco martwić.

Babcia siedziała z tyłu, w cieniu pod wiśnią. Na pozór zastygła w bezruchu. Wyglądała jak rzucona w kąt, zakurzona lalka. Jednak żyła. Niełatwo było to zauważyć, lecz jej ręce nieustannie wykonywały drobne, precyzyjne ruchy. Prostowały się i opuszczały, a palce zaciskały wokół psiego pyska, by zaraz powędrować do ust. Wyglądało to tak, jakby babka dotykała psa i wachała jego sierść. Ale po co wachać psią sierść? Przecież psem czuć na kilometr. Chodziło o wiśnie, w tym kryła się cała tajemnica. Babka wytresowała zwierzę w ten sposób, by przynosiło jej do rąk owoce. Ukradkiem wypluwała pestki za siebie, pod płót. Tam rosła cała ich góra i roiły się chmary pszczół. Wszystko miało swoje miejsce i nikomu nie przychodziło do głowy, by niepokoić babkę, chociaż niektórzy mogliby pomyśleć zapewne o tym, jakie to niehigieniczne, by jeść wiśnie, które miał w pysku pies.

– Matko! Mogłabyś coś powiedzieć, prawda? Chociaż raz! – zawołała ciotka Maryła.

Na twarzy babki wykwitł tajemniczy, zrezygnowany uśmiech, którego źródła nie sposób było zgadnąć. Staruszka wciąż pogrążona była w odrętwieniu. Miała ciężkie życie i teraz, w podeszłym wieku, bardzo cierpiała. Ukrywane przez lata schorzenia wychodziły na wierzch, brały, co należało do nich. Staruszka pochyliła się na swoim krześle. Poducha, na której

została posadzona, zjechała leciutko w dół. I babka zapadła się jak domek z kart albo góra układanego pieczolowicie prania.

– Matko... – nie ustępowała Maryla.

Znów jedynie uśmiech odpowiedział Maryli. Suche, przypominające pergamin wargi ukazały resztki tekturowych zębów, pokrytych czerwoną, wiśniową naleciałością. Jakie wspomnienia czaiły się w głowie staruszki? Jakie myśli kłębiły się w jej pograżonym w przeszłości łebku?

– Och, proszę, Marylo... – pisnęła moja mamusia, Agnieszka.

– Przestań! Matka mogłaby zainteresować się problemami własnych dzieci! Ale nie, ona woli milczeć!

– Nie widzisz, że w ogóle nie słuchała? Jej nie dotyczą już nasze sprawy... Myśli o czymś innym...

– Tak! Nigdy się nie przejmowała.

– Proszę, nie mów tak...

– Ale ty bałaś się odezwać choćby słowem! I masz teraz, zobacz, jak skończyłaś. I znikąd pomocy. Tak to już jest, jeśli kobieta godzi się na wszystko, nie potrafi zaprotestować.

Mamusia obruszyła się jak mały, skroplony deszczem ptaszek. Różniła się bardzo od Maryli i babki; one były utuczone, potężne i ciężkie niczym worki ziarna składowanego w spiżarni, mamusia zaś leciutka – chuda i przejrzysta, jak skorupka po jajku. I jeśli ciotka Maryla była rozwydrzoną gęsią, a babka starszawą, gnuśną kwoką, to mamusia moja była maleńkim ptaszkiem. Przytłoczona przez duże kobiety, odzywała się rzadko i – tak jak zarzuciła jej Maryla, zgadzała się na wszystko. Głosik miała strachliwy i piskliwy. Jak tylko powiedziała cokolwiek, to dźwięk tego słabego głosu tak ją deprymował, że od razu wycofywała się ze swoich żądań albo próśb. Dlatego nikt nie liczył się z nią tak naprawdę i była zawsze traktowana jak dziecko, którym się trzeba opiekować – mimo że, w odróżnieniu chociażby od Maryli, miała już własne dzieci.

Czy mamie to przeszkadzało? Nie, ona lubiła, gdy ktoś sprawował nad nią opiekę. Najlepiej czuła się w czyimś cieniu, mogąc wypełniać polecenia i nie brać za nic odpowiedzialności. Również tatusiowi pozwalała sobą rządzić i nie widziała nic złego w tym, że go nie było. Czasami nawet słuchała mnie... Ale nie lubiłam tego i źle się czułam, gdy mamusia robiła bez mrugnięcia okiem to, co chciałam.

– No i powiedz, gdzie jest twój mąż? – zapytała Maryla.

– Nie wiem... Niedługo powinien przyjechać.

– Ha, nawet teraz bronisz tego obiboka?

– Nie przy dziecku!

Mamusia sama wydawała się zaskoczona tym lichym protestem. Obie spojrzały na mnie; siedziałam cicho, wcale się nie odzywając. Bawiłam się z kotem w jedną z naszych kocich zabaw, lecz na dźwięk ostrego głosu matki podniosłam głowę. Patrzyłam na siostry niewinnym wzrokiem. Chciałam, by pomyślały, że niczego nie rozumiałam z ich urywanej, niejasnej rozmowy – i że mogą spokojnie mówić dalej. Ale one widocznie ujrzały w mojej twarzy coś podejrzanego, bo umilkły. Maryla podciągnęła zaplamiony fartuch i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie matce, wzruszyła ramionami. Następnie wychyliła swoją głęsią szyję ponad nas wszystkie, a nawet ponad nasz domek i rosnące na podwórzu sosny, i zajrzała na ulicę, wylupiając ciekawskie oczy.

– Wcale go nie ma! I nie wygląda na to, by zbierał się do powrotu! Przykładowy mąż i ojciec. Ciekawe, gdzie on może być?

– Skąd mam wiedzieć? I mówiłam ci, nie przy dziecku!

– Idź sobie! – rzuciła Maryla w moją stronę. – I weź ze sobą babcię.

Musiałam posłuchać, chociaż wcale nie chciałam iść. Chciałam zostać, bronić tatusia i mamusi przed tą głęsią. Ale to ona rządziła w domu. Istna głęsi! Wciąż trzeba spełniać jej życzenia! Wziąłem babkę pod rękę i ruszyliśmy przed siebie, do ogródka warzywnego, który rozciągał się za budynkami gospodarczymi, stodołą, oborą i chlewem.

– Poszukajcie dziadka! – usłyszałam jeszcze za sobą głos ciotki.

Dziadek umarł jakiś rok wcześniej, lecz nie przeszkadzało nam to wcale i często go szukałyśmy. Pojawiał się rzadko i tylko wtedy, kiedy sam tego chciał. Wciąż był nieco obrażony za tą swoją śmierć, twierdził, że tatuś powinien go przeprosić i pytał, czy ma pokazać ślady na rękach i klatce piersiowej. Powiedziano mi, że zmarł na zawał.

Prowadziłam schorowaną babkę za rękę, opowiadając o wszystkim, co widzę naokoło. A więc o olbrzymiej mirabelce, szklarni, za którą kryła się duchota i skarby w postaci pomidorów, orzechu i dojrzewających, zielonych kuleczkach, które chowały w środku twarde, brązowe mózgi... O ciągniku i przyczepie, a także widocznej w oddali krowie. Mówiłam, ponieważ miałam wrażenie, że babcia straciła ochotę do obserwowania świata i woli mieć oczy zamknięte, niż otwarte. A chciałam, by wiedziała, co jest grane. Chociaż ona знаła podwórze na pamięć, a jej stopy odnajdywały własne ślady, tak samo jak ślady swoich ojców i dziadków, których nie mogłam znać. Dlatego nie bałam się, że babcia upadnie. Ona miała upaść dopiero w swoim czasie.

– Widzisz gdzieś dziadka? – spytała.

Rozejrzałam się. Miałyśmy szczęście! Dziadek uklęknął w pobliżu mirabelki i z nosem przy ziemi szukał czegoś w trawie.

– Dziadku! – zawołałam.

Podniósł głowę i machnął ręką.

– Zaraz! Widziałyście, jakie słodkie są te śliweczki? Czemu żeście ich nie pozbiali? Gniją tutaj na pastwę pszczół! Jak można tak marnować owoce? Zobacz, jakie słodkie, no chodź!

Podbiegłam więc i wzięłam z jego straszliwie białej dłoni jedną mirabelkę; rzeczywiście, była bardzo, niemożliwie wręcz słodka.

– No? – spytał dziadek.

– Słodziutka jak landrynka! – zawołałam.

Babcia oparła się o pień drzewa i nie otwierając oczu, zapytała dziadka, gdzie się podziewał.

– Tu i tam – odrzekł. – Załatwiam swoje sprawy.

– Swoje sprawy! – prychnęła.

Ale dziadek i babcia nigdy się nie kłócili, poza tym dziadek był już martwy i nie pasowało robić mu wyrzutów. Dlatego usiedliśmy wszyscy na ławce i jedli mirabelki. Cicho było, siostry musiały przestać na siebie warczeć, tylko bzyczenie pszczół przypominało, że wciąż istnieją na tym świecie dźwięki. Świetliste wstęgi odkładały się na trawie i babka wzdychała, że nie może złapać tchu. Jej ciało falowało jak parowa kluska.

– Co u was? – zapytał dziadek.

– Jakoś leci – odrzekłam. – Mój tata gdzieś zniknął i Maryla krzyczy na mamę.

– Maryla! Mogłaby zrobić sobie dziecko, zamiast pouczać porządne kobiety.

– Już za późno. Uspokój się, masz chore serce – strofowała go babka.

– Już za późno.

W tym momencie ujrzałam na horyzoncie ciemną sylwetkę. Rosła w oczach i zrozumiałam po chwili, że zbliża się tatuś. Wyglądał nie najlepiej; koszulę miał całą w trawie, a twarz czerwoną. Nieogolone igielki zarostu przypominały ostre kłosa. Szedł, przechylając się z boku na bok, i chociaż chciałam na niego zawołać, to coś kazało mi zostać na miejscu. Tata wydawał się kimś obcym, z tym swoim twardym, kamiennym spojrzeniem utkwionym w jakimś punkcie przed sobą.

– Gdzie byłeś, tato? – spytałam.

Potrząsnął głową, jakby był bykiem, który pragnie zrzucić z siebie stado much. Podrapał się za policzkiem i zastanowił.

– Znowu spałeś w polu? Szukałeś dziadka? My też. Cały czas był tutaj i jadł mirabelki.

Ojciec rzucił dziadkowi wściekłe spojrzenie.

– Po co do mnie przychodzisz? – spytał.

– Ja? – bronił się dziadek.

– Tak, budzisz mnie w nocy i każesz ganiać się po polach! Siadasz na wątrobie i wysysasz ze mnie życie!

Dziadek obruszył się. Napychał sobie usta śliwkami, jakby w obawie, że zaraz zabronimy mu jeść. Bałam się, że znowu zaczniesz obwiniać tatusia i pokazywać te swoje ślady.

– Chciałem, byś pozbiierał śliwki... Są takie słodkie, spróbuj sam. Na wino albo do ciasta, spróbuj...

Lecz ojciec odtrącił jego wyciągnięte ramiona i poszedł w stronę domu, wciąż lekko się kołysząc.